

Roman Rudziński

Nowe formy w witkacologii : antyrecenzja z appendixem

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 5 (11), 174-180

1973

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

rzucone *a priori* i krytyk za wszelką cenę dąży do ich uprawomocnienia, i stąd właśnie w *Polskim carmen figuratum* ma miejsce ów słynny, słowno-rysunkowy kalambur.

Analizując metodę krytyczną Sandauera, dostrzec można w finale zadziwiający sposób argumentacji przedstawionych tez. Oto bowiem autor *Matecznika* chce przekonać nas swym własnym autorytetem. Nie sposób odmówić mu niewątpliwych zasług, lecz podpieranie propozycji interpretacyjnych dokonaniem z przeszłości jest już przesadzone. Fakt, że Sandauer wprowadził nowe pojęcia, nowe metody badawcze i przeciwstawiał się fałszywym rozwiązaniom, przysparza mu po latach niezaprzeczalnej chwały. Czy trzeba jednak ciągle o tym przypominać... „przy okazji”? Sandauer wykazuje, że problemy, którymi zajmuje się w *Mateczniku*, kontynuują jego dotychczasowe prace (*vide*: obfitość przypisów do własnych tekstów); trafność dawnych rozpoznań ma tu jak gdyby bronić trafności nowych propozycji. Oto logika Sandauera: skoro badania jego sprawdziły się „historycznie” jako słuszne, a nowe są starych prostą konsekwencją — wobec tego i nowym nie powinno niczego brakować. Sandauer (w takim ujęciu) to już nie krytyk — to Autorytet. Poświadczają te domniemania włączone do książki listy Przybosia, które nie bardzo wiadomo komu mają wystawiać świadectwo — ich nadawcy, czy raczej odbiorcy? Autor *Matecznika literackiego* zapatrzony jest we własne dokonania niby Narcyz we własne odbicie. Odnoszę wrażenie, że Sandauer w swej nowej książce podsumowuje nie zjawiska literackiej rzeczywistości, lecz swój własny dorobek twórczy. „Wspomnijmy tu na marginesie — pisze Schopenhauer — że budowanie komuś pomnika za życia równa się oświadczeniu, że gdy idzie o niego, nie można dowierzać potomności”.

Ryszard K. Przybylski

Nowe formy w witkacologii Antyrecenzja z appendixem

Jeśli szukać przykładu zjawiska kulturowego, nie poddającego się żadnej kontroli ani świadomemu sterowaniu, to jest nim na pewno współczesna witkacologia. Nie pomyślano w porę o sporządzeniu centralnego czy też wojewódzkich rozdzielników tematów witkacologicznych, a objętość esejów, artykułów i dysertacji dawno przekroczyła, i to wielokrotnie, objętościową zawartość dzieła samego Witkiewicza, zaprzeczając mimochodem jednemu z podstawowych praw dialektyki, wedle którego ilość przechodzi w jakość.

Sytuacja stawała się poniekąd niezręczna, można było bowiem obawiać się, że autor *Nienasyceńia* padnie ofiarą tego, co Meyerson nazywał paradoksem epistemologicznym, polegającym na stopniowej redukcji konkretności do wielości determinacji, wskutek czego poznanie konsumuje definitywnie swój przedmiot. Godzi się zauważyć nawiasem, że jak dotąd przedmiot ów opiera się dzielnie próbom spełnienia paradoksu: wprawdzie samemu Witkacemu nie obca była myśl, że jego doktryna stanie się kiedyś „rozbabrationsfähig” i może być nawet społeczeństwu przymusowo wpajana, jednakże sam też położył na drodze do takiego stanu rzeczy nie małe przeszkody, które okazują się nie do przebrnięcia z racji pożałowania godnej specjalizacji nauk. Mianowicie rzecz wygląda tak, że dla znawcy, np. jego dramatów, nie do strawienia jest jego główne dzieło filozoficzne, podobnie jak dla badacza historiozofii jego teoria i praktyka malarstwa. Toteż potężny wysiłek interpreterów nie zaowocował jak dotąd jedną bodaj monografią.

W tej sytuacji inicjatywa zwołania rzesz witkacologów na konferencję naukową, podjęta przez IBL PAN, miała szanse spełnienia funkcji terapeutycznych. I w pewnej mierze spełniła je — na wielu miłośników i badaczy zadziałał bowiem efekt masy: spojrzenie oko w oko często nieoczekiwanym współnikom chociażby przez snobizm skłoniło niektórych mniej zapamiętałych do zwrotu ideowego w stronę Konopnickiej bądź Kaczkowskiego. Novum istotne wnosi też publikacja materiałów, zebranych po konferencji¹. Znajdujemy w niej bilans dotychczasowych sukcesów badawczych, zarysowanie nowych, nadzwyczaj ponętnych perspektyw poznawczych, jak też okazję do rejestracji pewnych osobliwości samego fenomenu witkacologii. W poniższym omówieniu chcemy czytelnika uwrażliwić na niektóre z aspektów książki jako całościowego faktu humanistycznego.

Zauważmy najpierw, że w książce znajdujemy wiele sugestii bądź nawet rzeczowych informacji, rzucających całkiem nowe światło na postać samą „gówniarza z Krupowej Równi” i podważających zbanalizowane stereotypy. W tym zakresie szczególnie godny podkreślenia jest odkryty fakt upośledzenia intelektualnego Witkiewicza, podkreślany w kilku rozprawach. W zamykającym publikację artykule na temat: Polska w twórczości S. I. Witkiewicza ukazują się nam najstraszliwsze oblicze prawdy o autorze *Szewców*, stawiając nas przed nieprzyjemnym pytaniem: potwór był to czy idiota? Dowiadujemy się tam o różnych jego pomysłach, szokujących dla historyka a także dla zdrowego rozsądku. Oto okazuje się, że nie tylko aprobował on rozbiory Polski, ale też i dowodził, że słusznie nam się niewola należała. Polska bowiem

¹ *Studia o Stanisławie Ignacym Witkiewiczu*. Pod redakcją M. Głowińskiego i J. Sławińskiego. Wrocław 1972 Ossolineum, ss. 320. IBL PAN.

jego zdaniem była narodem gorszego rodzaju. Ponadto Witkacy był zagorzałym piłsudczykiem, współtworzył jego legendę kreując postać Kocmołuchowicza w *Nienasyceniu*. Sprawa jest trochę kłopotliwa, gdyż wiadomo skądinąd, że w oświeceniu autora *Nienasycenia* Kocmołuchowicz był raczej potężnym zerem aniżeli ideałem, ale niewielki to kłopot dla interpretatora sprawnego: cień na herosa rzucało to, że był napiętnowany polskością. Rozwijał też Witkacy pełną pokus wizję możliwych dziejów Polski, gdyby była ona przyjęła chrzest nie z Rzymu, lecz z Bizancjum, a ideał swój, zakorzeniony w podziwie dla Rosji, następująco uzasadniał:

„Jak sobie pomyślę, co to za cudny byłby typ bizantyjskiego polaczyszki, to mi się płakać chce, że to już nigdy nie nastąpi” (*Nienasycenie*).

Perwersja najczystsza wyrażała się też w jego propozycjach naprawy losów Polski: ni mniej ni więcej, sugerował rewolucję na większą znacznie skalę niż francuska, a setki tysięcy zgilotynowanych i zamordowanych zaświadczyłyby wtedy o doskonałości chociażby w gilotynowaniu, z której mogłoby coś wyniknąć.

W artykule tym znajdujemy jednakże wyjaśnienie, wskazujące na to, że Witkacy nie był jednak potworem. Zajął się on bowiem Polską, kiedy zawiodły narkotyki, pigułki Murti Binga oraz kopolacja, rozpatrywane jako drogi do absolutu. Świadczy to o tym, że zajął intelektualną perspektywę dziecka, opętanego absolutem (s. 314). Nic dziwnego, że autora rozprawy zdumiewa „niski poziom intelektualny tych rozstrzygnięć” (s. 313) chociaż właściwie mogłoby nie zdumiewać, skoro wyrosły one z nierzetelności umysłowej, intelektualnej pychy, dziecinnej nieświadomości siebie samego i z innych ograniczeń.

Podkreślić warto, że ujawnienie tych nowych faktów nie wiąże się wcale z odkryciem jakichś nowych źródeł czy materiałów archiwalnych. Jest natomiast rezultatem twórczego zastosowania metody, którą nazwalibyśmy metodą realizmu naiwnego: w jej świetle między postrzeżeniem a znaczeniem nie musi pośredniczyć myślenie i nie ma zróżnicowanych poziomów informacji. Jej szerokie zastosowanie umożliwia fakt, że nie przy każdym z napisanych przez siebie zdań i nie przy każdej wypowiedzi bohaterów powieści Witkacy zaznaczył w nawiasie czy też przypisie: „nie to mam na myśli, co tobie się kojarzy, kochanie głupawo”. Druga warstwa książki, szczególnie przyciągająca uwagę, dotyczy właśnie różnych zagadnień metodologicznych. Zbiór rozpraw dowodzi przede wszystkim wyższości narzędzia poznawczego, jakim jest metoda dialektyczna, mimo że przez autorów, których mamy tu na myśli, stosowana żywiołowo, nie zaś świadomie i planowo. Jak wiadomo, jednym z fundamentalnych ograniczeń metody metafizycznej (przeciwieństwa dialektycznej) jest rozpatrywanie zjawiska ze względu na jego tożsamość i pewna obojętność wobec tego,

czym dany fenomen nie jest. Natomiast metoda dialektyczna z założenia rozpatruje negatywność. Twórcze jej zastosowanie w artykule *System ontologii ogólnej...* (pełnego brzmienia tytułu nie podaje ze względu na ograniczoną pojemność czasopisma) pozwoliło m.in. uzasadnić odkrywcze stwierdzenie, że Witkacy nie był kantystą! Brzmi to może banalnie, przytoczone jako goły rezultat z pominięciem refleksyjnego uzasadnienia, ale jego głębia i wartość tkwi nie tyle w nim samym, co w metodzie: jeśli wziąć pod uwagę, ile pięknych dysertacji można napisać jeszcze o tym, że Witkacy nie był platonikiem, epikurejczykiem, heglistą, Skamandrytą itd. — to jest rzeczą oczywistą, że metoda ta otwiera szanse nieograniczonego prawie rozwoju witkacologii. Jej zastosowania odnajdujemy jeszcze w kilku artykułach bądź w ich częściach istotnych. Ale bylibyśmy niesprawiedliwi, odmawiając wszelkich walorów tradycyjnemu myśleniu metafizycznemu, które nie stroni przecież od porównywania tego, co skądinąd różne. Święci ono tryumfy w rozprawach o surrealizmie, wizjach rewolucji, teorii groteski.

Pomyślnie zarysowujący się obraz zakłóca nieco nadmierna skromność niektórych autorów. Jeden z nich np. wyznaje, że choć dysponował metodą składającą się z czterech warstw, nie zrozumiał intencji Witkacego, i jakby nie chcąc odróżnić się od innych napisał tekst tak jakby rozumiał. Faktycznie, w finale jego rozważań tak dalece mieszają się narratorzy, że nie sposób poznać, czy to Witkacy interpretuje Leszczyńskiego, czy Leszczyński Witkacego, czy też może jest w tym jakiś sens głębszy. Ale przecież sam powiada, że uchwycił intuicje preegzystencjalne, co jak dotąd nikomu właściwie się nie udawało.

Inny powód fascynacji stroną metodologiczną publikacji ma odmiennie nieco źródło. W kilku merytorycznie wartościowych artykułach, napisanych przez humanistyczne znakomitości, uderza z jednej strony istotny rozróżnienie między potęgą i błyskotliwymi sprawnościami aparatu badawczego a skromnością uzyskanych rezultatów, z drugiej strony zaś jakby rozminięcie się z całością przedmiotu badanego — czyli dziełem Witkacego. Tak więc w rozprawie o Witkacym-pantagrueliście błyskotliwy wywód kulminujący stwierdzeniem, że Witkacy pantagruelistą był, traci na wartości poznawczej wskutek braku określenia kulturowego znaczenia czy też funkcji pantagruelizmu w tej formacji kulturowej, do której należał autor *Szewców*. Dostarcza więc argumentów za określoną kwalifikacją teoretyczno-literacką, zaś w swych partiach najcenniejszych więcej mówi o pantagruelizmie niż o Witkacym. Szczególnie miejsce w zbiorze przysługuje artykułowi o powieści jako wypowiedzi filozoficznej. Prezentuje on bowiem przystępnie sposób poznawczego spożytkowania metody strukturalistycznej, oszczędzić więc może rzeszom filologów mozołu wnikania w dzieła

Lévi-Straussa, M. Foucault czy Barthesa. Ale siłą inercji niejako uprawomocnia podejrzenia, jakie zwykle się mieć co do wydajności tej właśnie metody. Okazuje się mianowicie z jednej strony, że aby wydobyć z materiału klarowne schematy opozycji, trzeba mocno „naciągnąć” przedmiot badany (tak np. przypisuje się kalectwo lub impotencję intelektualistom występującym w *Nienasyceniu*, gdyż świadomość i doskonałość cielesna mają się wykluczać; ale jest to wniosek głęboko niesprawiedliwy w odniesieniu do Abnola czy Benza — przykładów takich można by podać znacznie więcej). Z drugiej strony zaś rezultat rozważań — wyłonienie podstawowych opozycji — okazałyby się nadzwyczaj ubogi, gdyż można by go odnaleźć w percepcji świata najprostszego górala nawet w stanie lekko nietrzeźwym, gdyby nie końcowy odautorski komentarz uogólniający, inspirujący, choć nie wynikający z wywodów uprzednich.

Zwracamy na to uwagę, gdyż w innej rozprawie, poświęconej pojęciu Czystej Formy, wnikliwe rozważania jednego z najznajmniejszych witkacologów kulminują takim oto opisaniem podstawowej opozycji „ja — nie ja”:

„Tę opozycję «ja — nie ja» trzeba nosić w sobie jako podstawowe rozdarcie, by tak jak Witkacy trwać całe życie w zawieszeniu między obiema koncepcjami, nie ewoluując ni w jedną, ni w drugą stronę” (s. 264).

Refleksja tego typu o tyle jest szokująca, że psychologowie powszechnie dowodzą, iż odkrycie owej opozycji dokonuje się w okresie dość wczesnego dzieciństwa i utrzymuje się przez całe życie u każdego człowieka psychicznie normalnego, a skądinąd wiadomo, że nie każdy przecież potrafi napisać *Nienasyceenie*.

Ogólnie rzecząc biorąc, lektura dzieła uprawnia do stwierdzenia, że dominująca w naszej hermeneutyce od wielu lat metoda eksplikacji antynomii, gładko zespolona ostatnio ze strukturalistycznymi kategoriami opozycji, wystawiona jest na ciągłe pokusy wszytkożerności, gdyż potocznie doświadczane istnienie z samych niemal opozycji się składa: lewica i prawica, przodek i zadek, dno i szczyt, nacjonalizm i internacjonalizm itd., ale przecież wiadomo, że daleko im wszystkim do uzyskania znaczenia kulturotwórczego.

* * *

Do skreślenia powyższej antyrecenzji skłania nie tylko pokaźne nagromadzenie banialuków ani też obfitość dyskursu pozornego pozbawionego nośności znaczeniowej, pod tym względem bowiem wiele publikacji ostatnich lat omawianą przewyższa. Chodziło raczej o nieudolne opisanie bezradności wobec pytania, jakie mógłby sobie czytelnik postawić: o ile wzbożyciła się nasza postawa wobec dzieła Witkacego w wyniku mo-

zolnego trudu zapalczywych hermeneutyków? A może bardziej jeszcze wobec pytania: czego właściwie od książki tego typu należałoby oczekiwać? Wedle starych doktryn humanistyki niemieckiej warunkiem autentycznego obcowania z tradycją kultury było naukowe poznanie genezy osobowości twórcy i genezy dzieła, jego więzi z epoką mu współczesną na różnych poziomach, więzi międzyosobniczej, wreszcie poznanie składników znaczeniowych dzieła. Jak wiadomo, na tle antypsychologistycznych tendencji w humanistyce XX w. zaniechano tego sposobu organizacji całościowej postawy wobec tradycji kulturalnej, m.in. z tej racji, że zakładała ona, iż najfundamentalniejsze więzi znaczeniowotwórcze realizują się w nieopisywalnym węzle komunikacji między osobowością terażniejszą i dziełem z przeszłości. Jaki zaś mamy rezultat? Stan obecny można najdelikatniej określić mianem dezintegracji gruntownej. Mamy bowiem wspaniałe metodologie, które cechują się autotelicznością, a materiał, na którym się sprawdzają, ma dostarczyć im tylko okazjonalnej pożywki. Ukryte tutaj mniemanie, iż istnienie obiektywne dzieła nie jest wcale istotne, spotyka się z afirmacją otwartą przy drugiej postawie, szczególnie upowszechnionej wśród krytyków literackich, przy której hermeneuta podejmuje trud wyrażenia stanów duszy własnej, spożytkowując dzieło czy temat badany jako nędzny pretekst. Skutek zaś jest taki, że rozległa wiedza humanistyczna nie jest w stanie uobecnić nam składników tradycji kulturowej ani jako całościowych faktów znaczących, przyswajalnych intelektualnie, ani też wspomóc w uobecnieniu doświadczeń dawnych twórców kultury w tej warstwie, która i dla nas ma charakter obligujący. Lektura omawianego dzieła uświadamia nam mimowolnie to, czego zasadniczo brak u podstaw działalności humanistycznej:

— brak całościowej teorii rozwoju kultury polskiej bądź też teorii konkurencyjnych, które mogłyby wieść zasadny spór. Jest to raczej nieobecność absolutna.

— brak metody całościowej interpretacji faktów humanistycznych czy też metod konkurencyjnych. Metody zaprezentowane nie mają ze sobą żadnych punktów stycznych, dlatego rezultaty ich zastosowań nie pozwalają się kumulować.

S. I. Witkiewicz, aktywny w tak wielu dziedzinach kultury, jako obiekt badania bezlitośnie obnaża ten stan rzeczy.

Appendix

Przystępność metody strukturalistycznej, zaprezentowanej w artykule o powieści jako wypowiedzi filozoficznej, prowokuje nawet laika do jej spożytkowania chociażby dla analizy samej witkacologii jako zjawiska społecznego.

Parafrazując niektóre stwierdzenia artykułu, można by skonstruować następujące rozumowanie: witkacologia stanowi jedność w wielości. Konstytuują ją podstawowe opozycje pierwiastków duchowych i animalnych oraz wielości i jedności wedle formuły: tym, co łączy wielość (artykuły) w jedność (książkę) jest tajemnica, znana być może tylko redaktorom, a o jej nieprzenikliwości dla zwykłego umysłu stanowi dystans między pierwiastkami duchowymi i animalnymi. Duchowy charakter mają rozprawy i cała książka, zaś sami witkacologowie i ich potrzeba ekspresji charakteryzują się animalnością. Niedostępność tajemnicy wyraża się w tym, że środowisko społeczne witkacologów (wielość) kontaktuje się ze sobą tylko na płaszczyźnie animalnej (jedność), przeto jedność nadrzędna mogła powstać tylko przy interwencji świadomości redaktora. Kontynuując te rozważania można zauważyć, że z braku jednostki powszechnie uznanej za wybitną, która mogłaby jednoczyć środowiska witkacologów po stronie świadomości w sposób trwały, realizuje się trwała więź po stronie animalnej — mianowicie konstytuuje ją Witkacy jako obiekt erotycznej fiksacji¹. Zgodnie ze strukturą formalną wyznaczającą fabułę *Nienasycenia*, gdy po unicestwieniu świadomości animalność zyskuje na jurności, obiekt erotyczny zostaje zamordowany; analogicznie dzieje się i w zbiorze artykułów — Witkacy ginie pod piórem autora ostatniej rozprawy. Wywód ten streszcza tabelka²:

Witkacologia		
	<i>Duchowe</i>	<i>Animalne</i>
Wielość	Artykuły	Witkacologowie
Jedność	Książka	Potrzeba ekspresji
Zasada syntezy	Tajemnica	Libido ³
		<i>Roman Rudziński</i>

¹ Dla pewnej interpretacji należałoby przyjąć perspektywę psychoanalityczną w odniesieniu do dziejów naszej kultury: w jej świetle okazałoby się, że narodziny dzieła wybitnego stanowią wstrząs, napędzający następne generacje lękiem przed myśleniem samodzielnym. Zgodnie z wykładnią E. Fromma lęków wyraża się patologicznie w kazirodczej fiksacji, stymulującej ciągle powrót do dzieła wielkiego i chęć zjednoczenia z nim.

² Opracowując *appendix* korzystałem z konsultacji naukowych dr Kamili Rudzińskiej; która (o wstydzie!) należy osobiście do spóźnionego posiewu epidemii witkacologicznej.

³ Używając terminu „libido” zachowujemy z racji niekompetencji neutralność co do tego, czy posuwa się ono naprzód, czy wstecz, czy może w obie strony; problem ten został wnikliwie rozważony w rozprawie *Witkacy — teoretyk groteski*, s. 271.